NUMER 39. DNIA 28-go WRZEŚNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Jeszcze w sprawie Morskiego Oka.

Wkrótce po „sławnym“ artykule wstępnym „Słowa Polskiego“ — w sprawie Morskiego Oka — przemówił i p. Bartoszewicz w „Kronice tygodniowej“, niebacząc, jaki niesmak pozostawił ów artykuł.

Dziwny jest doprawdy nasz naród! Nie wyobrażam sobie gdziekolwiek podobnego stosunku dziennikarzy do społeczeństwa, jak u nas. Kiedy pojawia się objaw, któremu tylko należy przyklasnąć, objaw zajęcia się ogólną sprawą publiczną i to zajęcia całego społeczeństwa, jak Polska długa i szeroka, — występują tacy panowie i nie mają nic lepszego do robienia, jak zapał ośmieszać, sprawę obniżać. Jaki cel tego? — Jeszcze p. Bartoszewicza łatwiej można wytłumaczyć, miał napisać „Kronikę tygodniową“, wsiadł więc na ulubionego konika ironji. Nie dzisiaj zresztą dał się poznać, jako przeciwnik Tatr i Zakopanego; pamiętamy już jego złośliwe ramoty o Zakopanem.

Autor wstępnego artykułu napisał rzecz, która, gdyby nie była niemądra, byłaby wprost zdrożna. Uważamy ją raczej za pierwszą, dziwimy się tylko uporowi, z jakim autor obstaje przy swojem zdaniu, — jeszcze i teraz po wyroku i po odpowiedzi prof. Dybowskiego.

Oba artykuły grzeszą przedewszystkiem zupełną nieznajomością sprawy. Pisząc rady i wskazówki dla narodu, należałoby się zająć sprawą nieco bliżej, a nie wypowiadać zdań bezzasadnych.

Już w artykule „Słowa“, który witał sąd rozjemczy, czytać można było zapowiedź, że nam się czas upomnieć o Spiż, a wtedy nietylko Morskie Oko, ale znacznie więcej należałoby do nas.

To samo powtarza się znowu w owym sławnym artykule wstępnym i w „Kronice tygodniowej“ p. Bartoszewicza.

Nie mówiąc już teraz o tem, że kiedy toczy się sprawa o Morskie Oko, wyciąganie Spiża nie należy do rzeczy, — bo jakżeż wszczynać spór nowy, którego obecnie wcale przeprowadzać nie zamierzamy, — są jeszcze inne powody, których panowie ci widocznie wcale nie znają.

Oto wbrew ogólnemu mniemaniu Podhale (czyli, mówiąc urzędowo, powiat nowotarski) nigdzie a nigdzie nie stykało się ze Spiżem polskim. Starostwo spizkie poczynało się w okolicy Muszyny i wchodziło klinem w Spiż węgierski, a oprócz tego miało jeszcze kilka wysp, oddzielonych od owego klina, takich „enklaw“, jakich wiele przykładów pokazują granice państw w czasach średniowiecznych. W jednej z tych wysp Spiża polskiego leżała np. W i e l k a, miasteczko znane dzisiaj pod nazwą zmadziaryzowaną „Felka“, tak samo w wyspie polskiej leżała Nowa Wieś (Igló), Podgrodzie spiskie, Biała spiska itd.

Na około rozciągał się Spiż węgierski, mniej więcej w granicach dzisiejszego Komitatu spiskiego.

który też stykał się z Nowotarszczyzną. W sprawie Morskiego Oka nic a nic nie znaczą dawne granice Spiża polskiego, bo, jak wspomniałem ani w jednem miejscu nie stykały się z dzisiejszym powiatem nowotarskim.

To jest pierwszy błąd zasadniczy w artykułach wspomnianych, błąd, na którym autorowie budują swoje dalsze wnioski. Są więc one tak samo bałamutne; nie można tedy mówić, że gdyby się Galicja upomniała o Spiż, toby dostała znacznie więcej, a w tem i Morskie Oko. Nie wolno ludzi w błąd wprowadzać i głosić drukowanem słowem bezzasadnych rad, skoro się rzeczy nie zna dobrze.

Następnie trzeźwi autorowie rozważają, że te skały i woda tak mało warte materjalnie, że aż śmieszne o nie się wodzić.

Nie chcę tu wcale wykładać obu tym panom, że wartość moralna jest stokroć większą od wartości materjalnej, bo tylko pierwszą stoi druga, że już choćby nam, Polakom nie przystało mówić o tem, nam, co zawsze i wszędzie, tak dawniej, jak dzisiaj i jutro, pójdziemy za ideą. Tej nikt nie kupi, kto jej nie ma, a są narody, któreby dużo dały za nią, nie potrzebujemy się jej wstydzić, bo tylko nią stoimy i da, Bóg, stać będziemy. A cóż to było w całej walce o Morskie Oko, jak nie idea, ta sama idea, która w innej chwili pchała nas z pieśnią na ustach za Napoleonem. Trudno dzisiaj wołać o legiony i dziwić się, że tą samą pieśnią witamy odzyskanie Morskiego Oka. Ale też nie godzi się drwić; bardzo łatwo ośmieszać, ale znacznie trudniej wzbudzić w sobie ten sam zapał.

Są rzeczy, z któremi muszą się liczyć publicyści. Jeżeli jest jakiś ruch, jakiś objaw w społeczeństwie, to panowie ci powinni wejść w jego zrozumienie, inaczej nad nimi przechodzi społeczeństwo do porządku. Jest to tak samo, jak w sztuce czy literaturze. Krytyk, który, nie rozumiejąc pewnego utworu, odsądza autora od zdrowego rozumu, sam się przestarzał, nie jest żadnym krytykiem. Tak samo w tym wypadku. Nie rozumiejąc zapału w sprawie Morskiego Oka, widzi się jego przyczynę w „nerwowej chorobie zakopiańskiej“. Tego już za dużo, moi panowie. Nie wiem, czy ten, kto ma zdrowsze nerwy, gdy mu zabierają Morskie Oko, idzie spokojnie spać i powtarza sobie pod nosem: będzie Polska, będzie „od morza do morza“ — to wtedy i Morskie Oko dostaniemy!?

A teraz na bok odsuńmy wartość moralną, o niej trudno przekonać zwyczajnego mieszczucha-dziennikarza.

Co może być warte Morskie Oko pod względem materjalnym?

Jeżeli tego ktoś nie rozumie, proszę przejechać się po Alpach. Tam wartość materjalną można ocenić; wartość gór, jezior jest wprost bezgraniczną, bo da się eksploatować w nieskończoność. Proszę zważyć, że góry takie, jak Tatry, — to nie są sobie zwyczajne pagórki, to łańcuch gór, posiadających wybitny charakter swoisty, nie powtarzający się gdzieindziej,— to jest skarb, który, w miarę poznania go przez coraz szerszy ogół turystów, procentuje się w nieskończoność.

Rozumie to każdy inteligentny człowiek.

Dość było rozmawiać z członkami sądu rozjemczego, którzy z Krakowa na Zakopane przybyli nad Morskie Oko. Widzieli oni wielką, rozwijającą się olbrzymio miejscowość z nową koleją — dalej ową wspaniałą drogę do Morskiego Oka, którą chlubić się słusznie może nasz Wydział krajowy, — a u celu tej całej linji cóż leży? — Morskie Oko. Zrozumieli to zaraz Węgrzy i wyrażali się, że pojmują teraz, co za wartość przedstawia dla Polaków — Morskie Oko. Otóż tu już się da obliczyć dokładnie na korony, ile też jest warte owo jezioro i nieco skał. Nie buduje się przecież ciężkim mozołem i ogromnym nakładem drogi po to, aby ją w końcu doprowadzić do miejsca, gdzie się mają pobudować Węgrzy! A proszę sobie wystawić, coby było w razie wygranej Węgrów? Cel nasz, dążenia wielu lat, ten wielki rozkwit turystyki polskiej, — prawie że zwichnięty. Tego nie można sobie lekceważyć, to jest też pieniądz, z tego żyje i Kraków, leżąc na drodze do Tatr, — to nie są warjaci zakopiańscy, co wymyślili, jak sobie dworuje pan Bartoszewicz, język tatrzański, styl zakopiański i t. p. tak, jak nazywa, bziki, — to są ludzie, pracujący z myślą o przyszłości, chcący dać krajowi podstawę do zysków materjalnych i moralnych, to nie są ludzie, o których się mówi przy piwie u Hawełki, ot zakopiańczyk, tak jak się mówi chińczyk!

A teraz jeszcze jedna rzecz.

Jak świat wielki i szeroki, narody chlubią się tem, co mają najpiękniejszego w swoim kraju. Jest to tak naturalne, że przecież o to ani na chwilę spierać się nie można. Jeżeli ja chcę ściągnąć cudzoziemca do Polski, to sprowadzę go najłatwiej do Tatr i tak też w ostatnich latach przez Tatry poznały Polskę rzesze obce. To jest praktyczny sposób, za który tylko cała Polska może być wdzięczna, bo tu cudzoziemiec w chwili, kiedy jest do tego najwięcej skłonny, w czasie podróży, poznaje nasz kraj i naród, tam dowiaduje się o naszych stosunkach, widzi, że coś robimy, że żyjemy. Tego się nie ośmiesza, bo to jest ważne stanowisko tak dla zapoznania obcych z nami, jak i nas pomiędzy sobą.

Owa „letnia stolica Polski“, — to oczywiście frazes, żargon dziennikarski, ale nie o to tu idzie, rzecz sama jest rzeczą bez względu na nazwę.

A jeżeli już zajęcie się społeczeństwa naszego Tatrami jest tak powszechne — zajmuje nie jeden zabór, ale całą dawną naszą Rzeczpospolitą, — to powinni sobie ci panowie zadać pytanie, czy nie oni może są chorzy nerwowo, bo — jak dotychczas — miarą człowieka zdrowego pod względem umysłowym, jest umysł większości ludzi, a nie przeciwnie. Nawoływania, refleksje w drugim kierunku na nic się nie zdadzą, wywołują tylko uczucie niesmaku, że jeszcze nie dojrzeliśmy do tego stopnia, aby w sprawie, która nie powinna nas różnić, — iść razem, bez względu na stronnictwa, temperament, zapatrywania.

Nie chcę już w końcu zestawiać bilansu wysiłków i wydatków, jaki od lat 18, bo od roku 1883, kiedy zaczął się spór o Morskie Oko, posiada ta sprawa. Robienie teraz z tego operetki jest co najmniej dziwne i nie przystoi chyba mężom poważnym. Wolimy wierzyć, że sprawy dostatecznie nie rozumieją, ale niechżeż się w takim razie nie narzucają na proroków narodowi, bo ten wie dobrze, co o nich sądzić.

Z podobnymi — przepraszam za wyrażenie — politycznymi nonsensami, że za cenę Morskiego Oka, zawrzemy sojusz z Węgrami, — nie ma się co rozprawiać, już one same kwalifikują doniosłość artykułów, jak należy.

A wreszcie jeszcze słówko na zakończenie.

Sprawa o Morskie Oko nie narzuciła się sama społeczeństwu. Ludzie, którzy się nią zajęli, włożyli dużo pracy, dużo trudów, zabiegów, wydatków, dużo zdrowia i mienia, a że społeczeństwo się nią zajęło, to im to trzeba zawdzięczyć. Niechże każda sprawa narodowa ma swoich opiekunów, a wtedy będzie dobrze. Naród trzeba zachęcić, rozbudzić; nikt niech nie mówi, że nie można — bardzo wiele można, ale trzeba na to pracować. Niech w każdym kącie kraju znajdą się podobni ludzie, niech wszędzie czuwają, działają, nawołują, a nie będzie się mówiło, że tylko Morskie Oko wygrane. Teraz brać wzór z ludzi, co się zajmowali sprawą Morskiego Oka, czerpać z wyniku otuchę, że zawsze i wszędzie zwyciężymy tak, jak w tym wypadku, jeżeli się do sprawy weźmiemy z rozumem i zapałem.

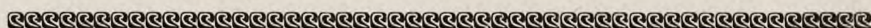
Dotychczas przyzwyczailiśmy się do objawów „trzeźwości politycznej“ po złym wyniku sprawy, — dzisiaj mamy już „stańczyków“ nawet po dobrym wyniku. Co to szkoła może!

Drażni was już dziś niewinny śpiew „Morskie Oko nasze!“ — pogodźcie się z nim, jak jeszcze z wieloma rzeczami w przyszłości się pogodzicie. Kiedy naród śpiewał przed wiekami po zwycięstwach, było dobrze; niech śpiewa jak najczęściej, a kogo razi, może iść spać i śnić o trzeźwej polityce kastratów.

Nie-dziennikarz.



Rudolf Virchow jako starożytnik słowiański.



Znaną jest mniej więcej czytelnikom działalność niedawno zmarłego, uczonego profesora na polu anatomji patologicznej i antropologji, nie będziemy więc powtarzać zasłużonych zresztą zupełnie a powszechnych chwalb w tym kierunku. Dotkniemy natomiast tej strony działalności naukowej śp. Virchowa, która dla nas Polaków i dla dziejów naszej kultury, ma niepoślednie znaczenie.

Jak każdy wszechstronny umysł — a wszechstronność zwykle jest znamieniem genjuszów, — nie spoczął Virchow na badaniach w czysto zawodowym kierunku, nie zamykał się jedynie w swojej pracowni, ale wyjeżdżał z Berlina nieustannie na wszystkie strony świata, gdzie tylko posłyszał o jakichkolwiek szczątkach przeddziejowej kultury. Badał pojemność i wskaźniki czaszek, rozpatrywał grobowce i urny, rozkopywał grodziszcza, zazierał na dno jezior, badając istotę życia ludów palowych.

Zdawałoby się natomiast, że w tym postępowym wolnomyślnym Niemcu zagasło w duszy wszystko, cokolwiekby nam o jego własnem, niegdyś słowiańskiem pochodzeniu świadczyło. Nazwisko Virchow staropomorskiem i słowiańskiem jest bowiem.

Sam uczony, jak wiadomo, na Pomorzu ujrzał światło dzienne, a choć na wielkich zjazdach archeologów niemieckich, tam gdzie świat cywilizowany słuchał wielkiego uczonego, dźwięczała dusza niemiecka i rozlegały się nawet zaborczo naukowe hasła, to w ścisłem kółku współpracowników tajała często dusza niegdyś słowiańska Virchowa.

Wprawdzie badał całą przeszłość przedhistoryczną Niemiec, lecz umysł jego zapalał się dopiero wtedy, kiedy zdawał sprawozdanie z wycieczek swoich naukowych po ojczystem Pomorzu, sąsiednich Prusach wschodnich i Wielkopolsce. Wtedy suchy, naukowy sposób przedstawienia niknął na chwilę, stary uczony kraśniejszych barw używał jedynie po to, ażeby odmalować piękność Pomorza, owej, jak mówił, „ściślejszej swojej ojczyzny“.

To też póki żył wielki starzec nie znajdowały przystępu do jego rozumu owe teorje, znamiona zachłanności germańskiej, według których nie było i niema słowiańskiej kultury, a wszędzie od wieków siedział zaborczy Niemiec.

Dla takich wybryków „naukowej“ żarłoczności i „Drangu nach Osten“, miewał zawsze zimną odzierającą z wszelkich złudzeń ironję. Dla niego Pomorze, Wielkopolska i Prusy wschodnie, to były odwieczne siedziby Słowian. „Jak daleko wstecz sięgają dzieje J u l i n a, m i a s t a p a l o w e g o słowiańskiego, nikt o tem nie wie, t a k s a m o, j a k n i e m o ż n a w i e d z i e ć p o c z ą t k u A d r j i i R a w e n n y, które jeszcze później, w historycznych czasach były miastami palowemi („Zeit. f. Ethnol.“ IV. Ver. 58, 60, 61.) A to była kultura tych odwiecznych osad „Dolnych Łużyc, Przyodrzańskiego działu, Pomorza, Śląska, Meklemburga i Saksonji“, na wskróś słowiańska, dla której „udało mu się odnaleźć wspólny typ grodowo-palowy“ („Zeit. f. Ethnol.“ XIII. Ver. 235). Zaś kultura tych grodów słowiańskich stała tak wysoko, że „s i l n i e w a b i ł a k u s o b i e N o r m a n ó w i N i e m c ó w, a b o g a t y k r a j b y ł w i e c z n y m p r z e d m i o t e m r a b u n k ó w i n a p a d ó w“ („Zeit. f. Ethnol.“ IV. Ver. 58). Dla niego cała północno-zachodnia Słowiańszczyzna przedstawiała zamkniętą w sobie i wysoką przedhistoryczną cywilizację i dziwić się należy polskim uczonym, że jego głosu potężnego nie użyto w walce o prawo istnienia Słowian na tak olbrzymiej dziś niemieckiej przestrzeni.

Rezultatem jego żmudnych i troskliwych badań było stwierdzenie na całej linji odrębności i starożytności kultury zachodnio-słowiańskiej. Jego stanowisko w tym względzie wpływało i na innych uczonych.

Raz w dyskusji nad tą sprawą wziął udział znakomity uczony p. F. Friedel, który, mówiąc o domkowej urnie z Gandowa, tak się znamiennie wyraził: „Dział grobów łużyckich, który się od pomorskich brzegów morza północnego, aż do Rosji (!) i Węgier rozciąga, jest z w i ą z a n y n a w s k r o ś f a m i l i j n e m p o d o b i e ń s t w e m, k t ó r e g o n i k t z a p r z e c z y ć n i e m o ż e, a chociaż ta i owa forma n a c z y n i a w w i e l k i c h g r a n i c a c h j e d n o s t a j n e j t e c h n i k i

jest umiejscowioną, to mimo to najczęściej panuje forma skończona, **rękodzielnicza zgrabność w dokonaniu.** Zaś na zachodzie w Meklemburgji, Hanowerze i Holsztynie panuje indywidualizm, który wskazuje na różnice plemienne. Wykonanie germańskich naczyń glinianych **jest surowsze,** niż rodzaju słowiańskiego. Muszę wyznać, że na tak olbrzymie przestrzenie rozszerzona sztuka keramiczna jest dla mnie niezrozumiałą, i dziwię się słowianofilom, że nie wyzyskali jeszcze tego, iż tubylczość słowiańskiej rasy kryje się razem z tą kulturą terytorjalnie i, że słowiańskie siedziby, na podstawie naczyń glinianych, aż po Berlin sięgają („Zeit. f. Ethnol.“ XVII. Ver. 167).

Jeszcze wyraźniejszym jest głos samego Virchowa w dyskusji, który również musimy przytoczyć, jako doniosłe rozstrzygnięcie sprawy, rzuconej dziś przez hakatystów, kto ma właściwie prawo zasiedzenia na ziemiach polskich: „Czy w Niemczech Germanowie mieli swoje siedziby, czy jaki inny lud, jest to sprawa, o której w tej chwili ciężko mówić, ponieważ nie mamy w ściślejszem znaczeniu tego słowa germańskich sprzętów i nie możemy ani **jednej formy jako typowo-germańskiej** określić, a na wskróś jest dowolnem, jak to teraz u nas moda jest (u Niemców), wszystko, co przedsłowiańskie, w krótkiej drodze uważać za germańskie. Szczególnie nasi przyjaciele w Łużycach wżyli się w myśl, wszystko, co przedsłowiańskie, bez namysłu nazywać germańskiem tak, że **uważam za wskazane wyraźnie** na to zwrócić uwagę, iż tego rodzaju postępowanie jest dowolnem“ („Zeit. f. Ethnol.“ XVI. Ver. str. 209).

Kiedy więc starożytność kultury północno-zachodniej słowiańskiej, która potrafiła na tak wielkich przestrzeniach wyrobić sobie styl, charakter odrębny i „wyższą od niemieckiej — rękodzielniczą technikę“, nie ulega najmniejszej wątpliwości, to „indywidualizm“ zabytków niby-germańskich, jest tak nieokreślony, że „w ściślejszem tego słowa znaczeniu“, niema ani jednej formy „typowo-germańskiej“, wedle świadectwa powyższych uczonych.

W dzisiejszych czasach, kiedy nietylko środki żywności ale i naukę fałszują, kiedy najemne hufce „uczonych“ szwabów stwarzają najniemożliwsze teorje o „niewolnictwie słowiańskiem“ (patrz artykuł ostatni Jentscha), dobrze jest przypomnieć bodaj cząstkę prac nam poświęconych przez uczonego pomorczyka, Virchowa.

I to jest celem niniejszego dorywczego artykułu.

Kazimierz Mokłowski.

EMMA JELEŃSKA

8)

Z MIŁOŚCI.

20. Czerwca. Czasem ogarnia mię melancholja. Chciałabym w życiu jakiejś zmiany. Chciałabym gdzieś pojechać — coś ciekawego widzieć, zwiedzać, trochę się rozerwać, a przynajmniej niekiedy z kimś przyjemnym i nowym porozmawiać. Tu wszystkich już znam tak dobrze, że aż do znudzenia.

Ale żona powinna być dla męża „osłodą w pracy“, więc siedzę w domu. Mój Boże, gdybym przynajmniej wiedziała, jak to mu być osłodą w pracy! Ale pojęcia nie mam. Próbowałam różnemi sposobami. Chciałam wywołać jego zwierzenia — ani rusz! Próbowałam sama oświecić się i zrozumieć, co on robi, czem się zajmuje, itd. — odpowiadał tak niechętnie, że dałam pokój.

Próbowałam, o nic nie pytając, cichutko wejść do jego pokoju i usiąść w kąciku — niech czuje, że ma przy sobie istotę swoją, bliską — może mu ta obecność moja sprawi przyjemność. Kręcił się na krześle, chrząkał, widać, że był nie swój, i rzekł wreszcie: „Nie gniewaj się, Wando, ale ja

nie mogę nic robić, jak mi ktoś siedzi na karku. Poczekaj — jak skończę, to przyjdę".

Wreszcie, spytałam, czybym nie mogła w czem mu być pomocną, czybym nie potrafiła zrobić mu jakich wyciągów, albo co przepisać, albo co streścić? Zaczął się ze mnie śmiać i żartować, i na tem się skończyło. Próbowałam odświeżać jego zmęczoną głowę opowiadaniem o tem, co czytam, co myślę — chciałam czasem coś mu przeczytać krótkiego, wesołego, albo pięknego, coby go trochę rozerwało i myśli jego zwróciło gdzieś wyżej, w inne sfery. Słuchał mnie wprawdzie, ale tak zimno, tak obojętnie, że dałam pokój. Z muzyką moją to samo; tyle w życiu słyszał dobrych artystów, że mu lada brzękanie nie może sprawić przyjemności. Pocóż mam się wysilać naderemnie, kiedy go to nudzi.

Wszelkie moje próby nie udały się. Osłodzić mu życia nie umiem. Może on tej osłody nie potrzebuje? A ja tylko napróżno się fatyguję?

2. Lipca. Okropność! Nigdy nie wierzyłam, aby takie rzeczy działy się naprawdę. Myślałam, że to tylko w powieściach... Olecka porzuciła męża i pojechała sobie w świat z jakimś panem. Jak ona mogła tak zrobić!

To była jakoby stara historja i ich stosunek trwał od lat paru, ale dopóki się taili i mąż nic nie wiedział, świat uważał, iż wszystko jest w porządku. Teraz, gdy się zrobił skandal, to opowiadaniom, plotkom, komentarzom niema końca. O niczem innem nie mówią. Zabawna jest Znajecka. Bo tak zawsze pomiatała Olecką za jej brak temperamentu, za jej „rybiość" — jak mówiła — tak zawsze zapewniała, że „już ta, to się na nic nie zdobędzie", że teraz jest kompletnie złapana. Taka ryba a zdobyła się na taką awanturę. To jej zaimponowało.

Ale naprawdę — jak ona mogła tak zrobić! Jak ona mogła porzucić tego męża, który wprawdzie nie jest sympatyczny, ale jest jej mężem i, który bodaj że ją kocha, bo teraz, gdy się to stało, niebezpiecznie się rozchorował — może umrzeć. Jak ona mogła przez tyle lat go zdradzać, kryć się, kłamać, przebywać z tamtym — co za ohyda!

A teraz — jak ona może gdzieś daleko, z tamtym przebywać spokojnie — kiedy wie, że tu jej prawdziwy mąż pozostał sam, w opuszczonym domu, ze wstydem — z podeptanem sercem, jej własny mąż!

Gdy pomyślę naprzykład o Karolu w takiem położeniu, to wszystko we mnie kipi i drży z oburzenia. Nie! Nie! żadna w świecie miłość, żadne uniesienie — nic, nic wytłumaczyć nie może takiej kobiety! Nic nigdy upoważnić nie może do zrobienia takiej krzywdy mężowi. O, lepiej umrzeć, lepiej skoczyć do rzeki, lepiej się otruć, lepiej rzucić się pod koła pociągu, niż męża tak oszukać i shańbić, niż zawieść to serce, które ufało i kochało poczciwie!

Gniewa mnie, jeśli kto stara się wynaleść łagodzące okoliczności. Tu niema żadnych łagodzących okoliczności. Tu jest fakt. Żona oszukuje przez lat kilka męża dobrego, przywiązanego, którego sama sobie wybrała, zwodzi go, kłamie, a wreszcie porzuca go. Co tu dodać... czem to usprawiedliwić?

17. Lipca. Wczoraj było jakieś święto, a Karol miał tak zmęczony wygląd, żem go namówiła na dłuższą przechadzkę. Pojechaliśmy tramwajem za miasto i wkrótce znaleźliśmy się na zupełnej wsi, wśród pól, okolonych lasem. Był wieczór ciepły — tak cichy, że słychać było świergot ptasząt. Po gałęziach, brzęczenie much, uganianie się chrząszczy — nawet czasem spadanie dojrzałych szyszek sosnowych. Słońce zsuwało się powoli za las, czerwone, ogromne i powietrze drgało jakimś czerwono złotym pyłkiem pod kopułą nieba, na którem nie było ani jednej chmurki. A z traw, z sosnowych drzew, z ziemi już zroszonej płynęły takie zawrotne, przenikliwe wonie, takie upajające szły nektary!

Po stuku, hałasie i ciżbie miejskiej, to przejście na łono cichego wieczora, ten spokój, co nas otaczał, to różowe światło, w którem szliśmy, jakby skąpani w glorji jakiejś nie z tego świata, te kwiatuszki żółte i białe, co nam się rozsypywały wciąż pod stopy, te muszki, co leciały chmurką leciuchną nad naszemi głowami, ten wietrzyk pachnący i ciepły, co nas po twarzach pieścił — ach, i ta przestrzeń otwarta, ten wolny oddech ku światu całemu, ku niebu — Boże to było coś tak pięknego, że dusza wyrywała się z piersi, i chciała lecieć naprzód, jak ptak o szerokich skrzydłach ku tym zachodnim zorzom, ku temu słońcu złotemu.

A wszystko dokoła było przepojone taką słodyczą, ptaszki ćwirkały do siebie tak czule, trawki tak się całowały, sosny tak sobie szumiały uprzejmie — i żaden gwałtowniejszy odgłos nie psuł

harmonji — a słońce ozłacało całą tę rozkosz swemi dobrotliwemi promieniami i zdawało się tak namawiać do czułości — że mimowoli serce napełniało się kochaniem.

Szliśmy obok siebie w milczeniu. Ja mówić nie mogłam wobec tych piękności. Zdawało mi się, że płynę po jakiemś rajskiem przestworzu — niewypowiedziana szczęśliwość rozpierała mi pierś.

Karol też milczał.

Zwróciłam się do niego. Ach, w taki wieczór powinny były dusze nasze połączyć się, rozpłynąć się w sobie i porozumieć się i uścisnąć się czystym uściskiem. Wszystko wokoło nawoływało do miłości.

Ach, w taki wieczór powinny były nasze dusze polecieć razem w przestrzeń, ku wyżynom...

Teraz, albo nigdy!

Ale Karol szedł w milczeniu ze spuszczoną głową. Zdawał się nie widzieć tego, co go otaczało. Więc rękę wsunęłam mu pod ramię i rzekłam: „Spójrz, jak ślicznie!“ I mówiąc tak, wiedziałam, że nie mówię tego, co mi się z ust rwało, a że tylko dobieram umyślnie prostych, zwykłych wyrażeń, aby go nie przerażać patosem, co we mnie wzbierał. Te głębsze, wyższe uczucia chciały być same odgadnięte.

On podniósł głowę, popatrzał obojętnie i po chwili rzekł: „Jutro będzie znowu upał. Takie czyste niebo“. „Ale teraz — jak cudnie! Ach, Karolu! przestań myśleć choć na chwilę o swoich sądach i procesach i księgach — a zachwyć się trochę tem wszystkiem. Taki dzień czarujący!“ On westchnął tylko i nic nie odpowiedział. I szliśmy dalej w milczeniu.

Aż przyszliśmy nad rzekę. Płynęła ona cała złota, pod drżącemi listkami wierzb — taka bogata, wspaniała w swym spokoju, taka pani odwieczna tych okolic, co tu była przed nami, i po nas będzie — i w coraz to nowej szacie idzie i idzie przed siebie, nie oglądając się za tem, co za sobą zostawia.

Szła ona teraz, szemrząc i mrucząc z cicha, jakby rozkoszując się swą pięknością i swem bogactwem — powoli, nie spiesząc — jakby wieczność cała należała do niej. „Usiądźmy“, rzekłam. Usiedliśmy na zwalonej wierzbie, a rzeka była pod naszemi stopami. Lekkie babki wodne kręciły się tuż bliziutko. Szła ku nam wilgoć rzeźwiąca i zapach ajerów.

A we mnie powstała tęsknota, szalona tęsknota do miłości, do jakiegoś silnego ramienia, coby mię ogarnęło, do kogoś, coby mnie wziął, uniósł ze sobą daleko, i kochał — kochał...

Tęsknota za jakimś dobrym głosem, za jakiemiś oczami, coby w głąb mnie spojrzały, za dłonią ciepłą, coby się na mem czole położyła. Ach, nie być samą — nie być samą na świecie!

A wszakże on siedział tuż blisko mnie. On, mój mąż, wybrany, ukochany przezemnie, który przysięgał, iż mię nie opuści aż do śmierci, który mię przecież kochał.

O, czemuż byłam od niego tak daleka, czemuż byłam tak opuszczona?

„Karolu — szepnęłam — taki wieczór to wieczór dla zakochanych“. Spojrzał na mnie, jakby zbudzony z zamyślenia, i uśmiechnął się. „Dla zakochanych — powtórzył — otóż i my, jak para zakochanych, gruchamy sobie teraz pod wierzbami“. Objął mnie, przygarnął do siebie i pocałował. „Śliczna pogoda! — dodał po chwili — śliczny zachód słońca“. „Dobrze, żeśmy tu przyszli?“ „Tak, bardzo przyjemnie“. Westchnął znowu — i w tej chwili uczułam, że jego myśli odwróciły się znowu odemnie. I znowu byłam sama — pomimo, że on był tak blisko...

O, Boże! to poczucie opuszczenia! A rzeka wciąż mruczała zcicha, i zdało mi się, że mówiła do mnie: „Chodź, chodź, chodź, chodź! Ja cię ogarnę, ja cię pochłonę, ze mną zlejesz się na wieki — i znajdziesz odpocznienie. Chodź, chodź!“ I ciągnęła mnie do siebie — do swojej złotej, świeżej fali.

Zerwałam się. „Chodźmy stąd — chodźmy! Ja się lękam tej wody...!“ Karol spojrzał zdziwiony. „Co tobie — Wando? Zkądże znowu te jakieś...?“ Ale szedł za mną, a ja biegłam przez pole zżęte, depcąc słomę z szelestem. Byle dalej, byle dalej!

Nie wiem, co mi się stało. Przecież wychowałam się nad wodą i nie bałam się jej nigdy. Może to były nerwy, może to jakieś przeczucie. Niewiem — i mniejsza o to. Teraz z okna patrzę na tąż samą rzekę zupełnie spokojnie.

Jedno wiem tylko, to, że w taki dzień cudny, w taką cichą godzinę wieczorną, gdy wszystko wokoło skłaniało się ku sobie z miłością, gdy niebo i ziemia zdawały się złączone w uścisku, gdy dusze szukały się, jakby wzajemnie — my

dwoje, choć tacy blizcy — byliśmy dla siebie dalecy — obcy...

Powiedziałam sobie: Dziś albo nigdy. A więc nigdy...?

2. Sierpnia. Jaka pustka, jaka cisza koło nas! Ze znajomych nikogo prawie niema, a choć by byli — co mi z tego? przecie z nikim tu blisko nie jestem. I miasto jakieś znudzone, gorące. Nawet rzeka pod oknami płynie sennie, leniwie, niechętnie — chciałaby się zatrzymać i odpocząć. Mnie czasem ogarnia smutek niewypowiedziany, wprost miejsca sobie znaleść nie mogę. Wiem, że na smutki takie najlepszem lekarstwem zajęcie.

Ale co mam robić? Czytam i gram, i znowu gram i czytam. Na zmianę mam codziennie godzinę lekcji z dziećmi praczki. Ale widzę, że nie jestem stworzona na bakałarkę. Pomimo doskonałych podręczników, których mi Rucz dostarczył, moje dzieci postępów nie robią.

Już drugi miesiąc, jak nad niemi ślęczę, a chłopiec nie może rozróżnić *b* od *d*, ani *u* od *n*. Dziewczynka sprytniejsza — zna już wszystkie litery i składa je dość poprawnie, wedle metody Promyka. Ale za to trudno sobie wyobrazić, jak jest tępą do arytmetyki. ,,Marylko, cztery i dwa — ile będzie“. Piętnaście! trzy! dziewięć! — wszystko jej jedno, bo ona nie myśli, tylko zgaduje. Czasami, przypadkiem dobrze trafi. A na palcach liczyć nie chce, bo ktoś w nią wmówił, że to wstyd.

O nie, nie jestem stworzoną na bakałarkę! Przytem i do tych brudnych rąk, i do tych głów rozczochranych, i do tego suterenowego zapachu przywyknąć nie mogę.

Mój Boże, cóżby na to powiedziała panna Użyńska? Spotkałam ją niedawno w ogrodzie i znowu mię zaatakowała o ten żłobek. Ale nie, dziękuję. Teraz przekonałam się, iż nie jestem do tego.

(C. d. n.)



OSTATNIA PODRÓŻ POLARNA.

Pisma codzienne donosiły niedawno o powrocie z wyprawy podbiegunowej porucznika Peary który dotarł do (84° 17') północnej szerokości i w ten sposób dał się wyprzedzić księciu Abruzzów, który dojechał do 86° 33' i Nansenowi (86° 14').— Przez 5 lat żył Peary zdala od cywilizacji, wyjechał mianowicie w czerwcu r. 1898, w sierpniu stanął na wysokości Cap York u wstępu do zatoki Smitha, gdzie przyjął na swój pokład kilka rodzin Eskimosów, wynajętych już przedtem wraz z psami. Następnej wiosny zamierzał on przy pomocy sanek, ciągnionych psami, dostać się do bieguna północnego. Podstawą jego podróży miała być kolonja Eskimosów, z której miał robić wycieczki, na północne, nieznane dotąd brzegi Grenlandji. - Peary jeszcze w lecie r. 1887 odbył podróż w krainy lodów i dotarł tam, gdzie jeszcze noga cywilizowanego człowieka nie postała. W czasie drugiej trzynasto miesięcznej podróży wykazał on, że Grenlandja jest wyspą, w czasie dalszych podróży studjował życie mieszkańców Północy, odkrył olbrzymie meteorytowe kamienie na przylądku York.

Przed rozpoczęciem ostatniej podróży wydał Peary książkę, w ktorej opisuje bardzo ciekawe szczegóły z samego wnętrza Grenladji.

„Cały ląd Grenlandji ogranicza się na pas przybrzeżny, od 5 do 80 mil szeroki, urozmaicony górami, dolinami i głęboko wciętymi fjordami. Wszystko to otoczone jest oceanem lodowatym. Nagromadzony od całych stuleci śnieg napełnił wszystkie doliny wnętrza i uczynił je podobnemi do wierzchołków górskich i piętrzył się coraz bardziej tak, że pogrzebał najwyższe szczyty Grenlandji na tysiące metrów pod śniegiem i lo-

dem. Wewnętrzna Grenlandja jest dzisiaj nie przejrzaną płaszczyzną śniegową, 5 do 10.000 stóp ponad poziom morza się wznoszącą, która spoczywa na zasypanych wierzchołkach górskich. Na tej mroźnej pustyni niema ani śladu życia roślinnego lub zwierzęcego, ani kawałka kamienia, ani ziarnka piasku. Kto jedzie przez tę śnieżną pustynię, oprócz siebie i towarzystwa nie widzi żadnej żywej istoty, tylko bezmierną białą równinę, przykrytą zimną kopułą nieba i oświetloną białem a zimnem słońcem. Najwyższe góry Grenlandji leżą o tysiąc stóp pod powierzchnią śniegu.

Na zachodniem wybrzeżu zatoki Smitha znalazł Peary małe plemię Eskimosów, które mieszka bardziej na północ, niż wszystkie inne ludzkie istoty, a żyje bez rządu, religji, pieniędzy, bez mowy piśmiennej, bez własności żadnej, oprócz odzienia i broni. Ich pożywieniem: mięso, krew i tran bez soli, odzieniem: skóry ptaków i zwierząt. Celem ich żywota jest zdobyć coś do zjedzenia i przyodziania się, a całem zatrudnieniem walka o to. Ci ludzie, których zwyczaje i tryb życia tak mało się różnią od zwierząt, okazują się jednak przy bliższej znajomości szybkimi, roztropnymi i zdolnymi. Prości i uczciwi, stanowią niejako gminę dzieci, ale są ludźmi żelaznymi w swej niesłychanej wytrzymałości na głód i na zimno, a bardzo inteligentnymi w sporządzaniu narzędzi myśliwskich“.

Ludzie ci towarzyszyli Pearyemu przez cały czas jego podróży. „Skutkiem moich ekspedycji — pisze on — cały ów szczep stał się bogatym. Przed siedmiu laty niektóry z nich tylko posiadał nóż lub igłę, a kto miał drewnianą harpunę, uchodził już za człowieka bogatego. Pewien człowiek ofiarowywał mi psy swoje i sanie i wszystkie futra za kawałek. deski, inny żonę i dwoje dzieci za jeden nóż, a kobieta pewna cały swój dobytek za jedną igłę. Dzisiaj wszyscy mężczyzni posiadają noże, kobiety igły, każdy ma swoją łódź, bardzo wielu strzelby, drewniane harpuny i sanki. — Skutkiem tego właśnie cała osada lepiej się odżywia, lepiej odziewa, śmiertelność w ostatnich kilku latach zmalała, a urosła liczba narodzin.

Fr. Jaw.



18)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Ognisko ledwo omurowane, z kotłami na żerdziach wiszącymi, widnieje też do teraz na Litwie pruskiej („Bauernhaus in Ostpreussen“ Ver. d. B. dk. mälern Ostpreussen, str. 49). Na Żmudzi też ,,na środku sieni na miejscu obłożonem kamieniami pali się ogień, a nad nim wisi sagan na drewnianym kruczku, co u biedniejszych ludzi do dziś się spotyka“. — Środkowe też stanowisko ogniska zajmuje komin w staroszlacheckich dworkach na Litwie (Roemer i Seliwestrowicz. Chata żmujdzka, Wisła, tom II. str. 843). Chaty żmujdzkie i litewskie, których pochodzenie od namiotu potwierdza też ich nazwa wiele mówiąca ,,namas, nomas vel numas“ (Mierzyński, Zród. do mit. litew. 14) zwracały już zdawna uwagę podróżników, historyków i uczonych. Długosz (cytowany u Glogera w Encyklop. staropolskiej. Tom II. pod słowem Dom) widział jeszcze okrągłą, ,,w niższej części do okrętu“ podobną, namiotową ich formę, jak to z przytoczonego tu opisu wnosić należy: ,,Żmudzini w owych czasach (około r. 1413), dzicy i nieokrzesani, barbarzyńską tchnęli srogością. Nie mieli oni żadnych porządnych domów, ani mieszkań, ale w lichych mieścili się chatach. Chaty klecone z drzewa i słomy, szersze od spodu, coraz bardziej zwężające się u góry, podobne były w niższej części do

okrętu (ówczesnego, a więc prawie okrągłe?) u szczytu miały otwór, którym górą wchodziło światło. Pod tem okienkiem palili ognisko i gotowali sobie strawę, ogrzewając się od zimna, które w tym kraju większą część roku panuje. W takich chałupach mieszkali wraz z żonami, dziećmi i czeladzią, chowając w nich razem bydło, trzodę, zboże i wszystek sprzęt domowy. Nie znali innych domów, izb godowniczych, pałaców, spiżarni, komnat i stajen". Mierzyński (Zród. do mit. lit. 15) powiada, że w „namas", jak namiocie kirgizkim lub kałmuckim nie było pieca, ale ognisko, na którem tlił wieczny ogień" Dowiadujemy się dalej, że węgierskiej nazwie ducha ochronnego, rodzinnego: Nemitö, odpowiada żmujdzka nazwa bóstwa domowego „Numeja" i litewska przechowana w kronice wołyńskiej „Numa-deus', albo „Noma-deus", co oznacza według wywodu p. Mierzyńskiego (tamże str. 140 141). Nomas-nomai chata, diewos bóg, razem bóg domowy (porównaj Nomadio po grecku horda pasterska). Lepner w dziale wydanem w Gdańsku w r. 1794 a zatytułowanem „der preussische Littauer" rozróżnia następujące rodzaje budowli litewskich w okolicy Ragnety: „Litwini żyją w dwóch mieszkaniach, mianowicie w „stubie" (patrz izdba, etuwa i t. d. w klanie wyrazów namiotowych), w której mieszkali zimą (a więc ważniejsza chata, jeśli w niej zimą jest człowiek) i „namas" który znowu był rodzajem mieszkania letniego (już obniżonego niejako w swem znaczeniu mieszkalnem). Trzecim gatunkiem jest „klecia, kleta" używana, raz jako „komora, raz jako sypialnia" (O klecie pomówimy osobno przy drewnianem „kleconem" budownictwie). Jaroszewicz, w dziele „Obrazy Litwy" i Kraszewski Józef, w „Litwie", przytaczają opis tych „namas", które nazwane są numami zapewne „numas" według przytoczonych wyżej djalektycznych odmian. Opisuje je Paszkiewicz w „Dzienniku Warszawskim", w r. 1829, jako budowle z krąglaków, bez okien, z drzwiami jedynie, 8 łokci szerokie a 15 długie, dach na łatach, dartą korą kryty. W środku „numas" było na łokieć wkopane, gliną wymoszczone podmurowanie, ognisko (ugnia—wiete — miejsce dla ognia), w koło lub kwadrat otoczone kamieniami, które tworzyły rodzaj ławy lub przyzby. Po za wolnem, czysto zamiecionem miejscem, było ogrodzenie z bierwion na dwa łokcie wysokie, a poza niem dopiero stanowisko dla bydła. „Numas, nomas, namas" składało się właściwie z „namiotu" zaznaczonego przez owe bierwiona na dwa łokcie wysokie", gdzie przebywali ludzie i z pierścienia dookolnego z miejscem dla bydła. Myśl podobną znajdziemy jeszcze daleko od Litwy, do dziś dnia w układzie chaty rusińskich Huculów. — „Numas", którą jeszcze na początku tego wieku widział Paszkiewicz, kształtem swoim zewnętrznym zerwała już z tem, co z 15 wieku donosi nam Długosz, opisując chatę do „okrętu w niższej części" podobną. Drzewo, i, jak to zobaczymy w następnym rozdziale, budowanie mieszkań na palach wysunęło zwycięsko, bo lepiej do okoliczności i tworzywa przystosowaną, formę kwadratu, lub prostokąta.

Natomiast dowodem pośrednim, dalszym zrośnięcia takiego „namiotu" ze stepem, bez względu na to, czy ten namiot w materjale tkaninowym, czy wiklinowym, jako kosz, czy drzewnym, jak huculska koleba, bywa wyrażony, jest wiadomość o dawnych mieszkaniach koszowych kozaków zaporoskich, którą podaje w swojej „Historji Zaporoża" Iwarnicki (str. 80). Wiadomość powyższa jest o tyle też ważną, że stanowi sobą również dziejowy przyczynek do wyobrażenia wnętrza owych koszów-namiotów, które materjałem należą do innego już rozdziału, kształtem wewnętrznym nie przestały być mimoto namiotami. Zaporożec, Nikita Leongjewicz, tak tłumaczy powstanie nazwy kosza u Zaporożców: „Koczuje zimą i latem po stepie zaporoski Kozak, dla ochrony od chłodnych wiatrów i „durnej" pogody, zapotrzebował koszy. Kosze były podobne do pałatek (mieszkań późniejszych; przyp. autora), obszyte do około „polstiem" (obiciem płóciennem lub skórzanem), zaś, aby się mogły przenosić, pokładziono je na dwóch kołach. W środku było ognisko". — Słowa kozaka, Nikity Leongjewicza, powtórzone przez Iwarnickiego, doskonale odźwierciadlają związek kształtu kosza „obszycia" go skórą lub płótnem" dookoła, ogniska w pośrodku, z potrzebą takiego przenośnego mieszkania na stepie. — W rozdziale, poświęconym „koszowi-ziemlance", powrócimy jeszcze do powyższego świadectwa. Obecnie zastanowimy się, o ile wskutek zmiany kształtu ludzkiego mieszkania pod wpływem bagienno-

palowym na kwadrat lub prostokąt, zaginęły dawne stepowe formy w budowlach mieszkalnych.

Nawet w tak pierwotnych chatach, jakiemi są mieszkania chłopów dolno-saskich, gdzie ludzie, bydło, stodoła i ognisko w pośrodku „kleety“ mieszczą się pod wspólnym dachem, istnieje prostokątny kształt — jako zasadniczy wątek, po palowych budowlach odziedziczony. — Na Litwie mieliśmy już prawie wszystko — ognisko w pośrodku — sagany na kruczkach, miejsca dla ludzi dookoła, nazwę w całości od czasów stepowej wędrówki dochowaną, prócz dwu rzeczy, namiot zasadniczo określających: formy okrągłej, lub w koło wpisanego wieloboku, i dymnika u szczytu dachu.

Rozważmy okoliczności, w których ludność aryjska w Europie, niegdyś stepowa, mogła zachować na sobie ślady stepowej wędrówki nierozpuszczone zbytnio w okresie palowej kultury. Miejscem, gdzie ludność mogła, jak owad w bursztynie niejako, zachować kształt starodawnej cywilizacji, są jedynie lasy i góry. Warunki życia w górach, zasadniczo odmienne od okoliczności, towarzyszących osiedlaniu się w wilgotnych dolinach, wywołały w Szwajcarji, mimo jedności plemiennej, zupełnie inny rodzaj budowania (na kład, na zamek), niż na poziomych, wiosną wilgocią zalewanych dolinach, gdzie panowała wyłącznie z konstrukcji palowej wyrosła ryglówka.

Ludność, która wcześnie po przybyciu do Europy, bliżej wschodu i południa, została wpędzona w góry, mogła zachować właściwości przyniesione ze stepów znacznie dłużej niż lud, na dołach mieszkający, choćby był tak, jak Litwini, bagnami i puszczami przez długie wieki od reszty świata odcięty.

Lud góralski w Karpatach i Alpach, tak jak ludy stepowe, nie żył z rolnictwa, ale z chowu bydła, owiec i koni. Różnica jest tylko ta, że góry wprowadzają nowy żywioł do gospodarki, jakim jest las, którego na stepie nie znano.

O ile las, jak to się dzieje na halach i połoninach, nie ma wpływu na gospodarowanie, stepowy charakter kultury pozostaje prawie nienaruszony. — Ludem takim są nasi Górale z Podhala, ale w znacznie jeszcze większym stopniu Huculi w górach karpackich na Pokuciu i na Bukowinie. — Lud to piękny i rosły i na wskróś prawie, we wszystkiem, co potrzebuje i co wytwarza od dołów (prócz wódki, tytoniu, soli i prochu strzelniczego) niezawisły.

O góralach „Harii“ mówił Tacyt jeszcze na 100 lat przed Chrystusem, że mają tatuowane ciała, właściwość ludów bardzo pierwotnych, które jeszcze nie odzienie, ale skórę na ciele przystrajają. — Może to o nich pisał Teofil Simokata około r. 629. (Mon. Pol. str. 3.), że „nie zwykli przypasywać mieczów ponieważ ich kraj nie zna żelaza“. Możliwość tego przypuszczenia opieram na tem że w ogóle ludność góralska, pozbawiona rudy darniowej, jako wytworu równinnych bagnistych okolic, musi się posługiwać albo drzewem, albo innym metalem, miedzią i bronzem. Ciekawym przykładem zaś leśnego stanu cywilizacji byli, według świadectw kronikarzy i ludoznawców, Litwini, plemię pierwotnością kultury w wielu szczegółach zbiegające się z Hucułami. Istnieją u nich naprzykład żywe ślady kowania słońca z miedzi, przedstawienia wspólnego wszystkim Arjom. Pieśń litewska powiada „Kowal kuje na niebie, węgle sypią się w Dźwinę“. — Dopełniacz przekładu Jana Malali mówi wyraźnie o litewskim kowalu, który, ukuwszy słońce, rzuca je na niebo, aby światu świeciło (porównaj odnośny ustęp o tem w klanie wyrazów namiotowych, o miedzi, świeceniu i słońcu). Natomiast w okresie historycznym pieśni i wyobrażenia powyższe istnieją tylko jako ślad dawnej kultury. Miedź zaginęła a żelazo było tam bardzo rzadkie, tak że o Litwinach jeszcze w XVI stuleciu można było mówić że ich „kraj nie zna żelaza“. Świadczą o tem Gwagnin i Łasicki. Łasicki pisze naprzykład, że Żmudzini sycili miód i warzyli piwo w naczyniach, wyrabianych z kory w ten sposób, że wrzucali w nie rozpalone kamienie“. Tak samo warzyli strawę wedle świadectwa Einhorna z XVII w. Łotysze. — U Hucułów zaś są jeszcze bardzo wyraźne ślady kultury bronzowej i to zachowane w najstarodawniejszem narzędziu ludzkiem, jakiem jest topór, toporek, ciupaga. Do dziś, wprawdzie już tylko jako ozdobę, obok innych drobnostek, odlewają dawną broń i narzędzie topór, w bronzie, za pomocą, bardzo pierwotnych foremek i zdobią go geometryczno-tkackimi motywami. Również opowiadanie Nestora o Krywiczanach, że „nie znają stadeł małżeńskich“, i Al Bekrego o dziewictwie, poczytanem u Słowian za wadę u dziewczyny, a nie jako

zaletę, stosuje się do bardzo swobodnego życia płciowego u Hucułów. Prof. Szuchiewicz, autor monografji „Huculszczyna“, mówi o stosunkach płciowych, dla których nawet zbliżenie się między córką a ojcem nie pozostaje obcem. Do dziś są pozbawieni instynktu rolnika. „Grzechem jest ziemię pruć“ powiada Hucuł (Huculszczyna str. 164). Dla niego „merżanna“ (owce i krowy) i konie stanowią główne bogactwo w rzadko rozsianych gospodarstwach, które położeniem wzajemnem przypominają zupełnie to co, Alupeke powiada o Łotyszach, że „pogaństwo to nie mieszka gromadą, lecz buduje się z osobna w lasach“. — To samo mówi Łasicki o Żmudzinach“ (cyt. Mierzyńskiego Mit. lit. I str. 10).

C. d. n. *Kazimierz Mokłowski.*

Z UST GÓRALA ZAKOPIAŃSKIEGO.

III.

O bogowojnym juhasie.

To, co teraz opowiem, to nie jest żadna opowiadka, abo przypowiadka, ani bajka, ino to jest prawda. Za naszych ojców, dziadków to się konało.

Jest jedna hala, która sie nazywa Miętusia, między Małą Łąką a upłazem Czerwonego Wirchu. Drzewiej się pasało w tej hali 500 owiec. Był hań szałas w dolinie. Nad tym szałasem był straśny wirk i turnie. Nie wszędy tyż było módz z owcami dójść po trawę, żeby się pasły. Było juhasów ośmi, które pasły, a dziewiąty baca, który robi ze syrem i jest w szałasie, jako gazda w domu, a między temi juhasami jest jako ojciec między dzieciami. Im nie wolno wziąść syra kąsiczka przez niego, ino wtenczas, kie on im da. Jeny do żentycy, kiej się któremu zechce, to pije, bo baca tem nie dzieli. Syr się daje za owce gazdom. Owce sie zganiają z pięci i ze sześci wsi. To sobie zganiają juhasi i oni każdy musi wiedzieć o swoich, które zajął u gazdy.

Juści był między nimi jeden, który prawdziwie nazywał się juhas, bo to był z Boga juhas. Wstał wczas, umył się, klęknął, pacierz zmówił godnie, chociaj to było w lesie, między turniami. Ci drudzy sićko się z niego śmiali i nazywali go Jezusek. Przyszło połednie, on się pomodlił, chochiaj zwonów on hań prawie nigda nie czuł. A ci siedmi innych juhasów i baca zamiast się pomodlić, to wseleniejakie śmiechy z niego toczęcy, wselejakiemi brzyćkiemi radami radzą, bluźnią.

Ciężko było temu juhasowi dobremu wytrzymać przy nich. Kie przyszeł nieraz chudobny dziadek na szałas, to on syćkich przebieg piersy i jemu dał czerpak żentycy. A baca z tymi drugimi juhasami wyśmiewajęcy się z niego, przekładają mu, że „to jest twój ojciec, podobnyś do tego dziada, mógłbyś iść z nim po żebrze. Świedczyło by wam obu“.

Ale ten juhas bogowojny na to nie patrzył — nic a nic — ino patrzał, co się tyczy szałasu i tyż, co się tyczy Boga. Nosił Go w sercu.

I co się nie zrobiło: jednego razu przychodzi dziadek siwy, stary na szałas. Skoczył bogowojny juhas ku dziadkowi, przywitał, dał mu ciepłej żentycy, co miał wypić on, juhas, dał mu tyż i swój kąsek syra, który miał od bacy i prosił pięknie, coby ten dziadek siadł na jego miejsce przy watrze, ogrzać się godnie.

Trudno było juhasom wystąpić z kijem na obuch, na juhasa i na dziadka, bo juhas bogowojny był właściciel na tej hali, na Miętusiej, miał tam część, toż jeny naśmiewali się bluźnierskiemi słowami.

Posiedział końdek ten siwy dziadek i nie pedział im, juhasom: „ostańcie z Bogiem“, - bo nie godni byli. Odeszeł 20 kroków od szałasa i zawołał pobożnego juhasa ku sobie. Hipnął bogowojny juhas ku dziadkowi siwemu. Pedział mu dziadek: „Zachowaj moje słowa i pamiętaj, co ci tera powiem. Widzisz ten wirk?“ — gwarzy dziadek, a nad samym szałasem był wirk ostry i wysoki, na który nie wyszeł żaden człek, ani dzika koza. — „Poźryj-że na ten wirk i pamiętaj: jutro w samo połednie wejdzie nad tym wirkiem chmurka. A ty wnet uzbiraj swoje rzeczy i włóż

do torby. I ciągiem pozieraj na niebo, na ten wirk ostry. Kie wyjdzie chmurka, nie będzie większa, jako twoja torba. Toż zarzucaj wartko swoją torbę na plecy, nie uważuj na śmiechy, ani bluźnierstwa, weź ciupagę do ręki, zejdź niżej owiec, ka owce stały w kosarze, gwiźnij na owce swoje i idź dołu, nie obzieraj się nic".

Tak dziadek nakazował i tak sie stało. Juhas bogowojny zebrał w samo połednie swoje rzeczy. A rzeczy juhaskie zwały się takie: formy na sieleniejakie oscypki: baranek, kaczka, serce, parzenice, — potem gieleta, co się owce do niej doją, — szata, w której syr wisi, — czerpak miasto kubka, w którym owczarz pije żentycę, — kapałka, co do niej kapi żentyca ze szatki z serem, — ferula, co się trzepie, kiej się żentyca uwarzy. Toż te wsyćkie rzeczy bogowojny juhas zebrał, a co mógł, włożył do swojej torby ze sukna z długiemi strzępami, a kie się chmurka ukazała nad ostrym wirkiem, zeszeł poniżej owiec, włożył — jako zwyczajnie — dwa palce w usta i gwizdnął. Wszystkich owiec było sześćset, a jego wyżej sta. Toż te jego owce wyłączyły się wnet cudem bożym i szły za swoim juhasem dołu. A to przecie nie był jeszcze osad, bo to było śród lata. I kie osad jest, to potrzebno ludzi, żeby jednego juhasa owce módz odłączyć, żeby ich poosadzać. Przecie to owce nie ludzie, żeby one mogły wiedzieć, którego są jest juhasa, heba kie pobędą wraz tak sześćset, to one są prawie tak, jakby były jednego juhasa, a te się wyłączyły cudem bożym.

Poszeł juhas do domu z owcami, ze swemi. A nad tym wirkiem chmura się ozciągła wielga, wieldziażna. Była śliczna w ten dzień pogoda, ale jak się ta chmura ozciągła, pogoda zginęła. Napirw zaczął deszcz lać, potem przyszły łyskawice straszne, przeraźliwe, a pierony tak biły do tego wirka, co nigdy ani przedtem ani potem ludzkie ucho nie słychowało, ani oko nie zwidziało. Jaze ozbiły pierony ten wirk ogromeczny, jaze zawiezło tych juhasów nieszczęsnych.

Zwióz się wirk cały na szałas, ani śladu znaku nie ostało, ka szałas był. Zakończyło się życie juhasom smutne. Były to chłopy mocne, silne, piękne, ozbrojone pasami, a te pasy obite guzikami, łańcuszkami, kapelusze centkami mosiężnemi, mało ich było widno od mosiądza. Ale były to tyż chłopy durne, pyszne. Żaden z nich nie przeradził do nikogo w porządku, jeny wsze z wyśmiechami, wygadowaniem na drugich, wsze o brzyćkich rzeczach mówili. Toż i śmierzć mieli nieszczęsną. Jaka praca — taka płaca.

Ten bogowojny juhas była to średnia chłopina, nie kochał się w żadnyk zbrojach, ba zawdy na sobie miał, co podla niego się patrzy. Miał sobie pasik, parę guzików na nim, łańcuszek jeden u pasika, którym miał nóż przypięty, coby mu się nie stracił, bo taka moda była starodawna. Z każdym przeradził w porządku ten juhas, i z biednym i z bogatym. Kto się go co zapytał, to mu odpedział miłosiernie. Toż go cud boży od śmierzci zratował. Poszeł ze swoim kierdelem do domu i z tego się wiela ludzi wtedy poprawiło.

Kie się lato skończyło, nastąpiła zima, potem przyszła wiesna. A na wiesnę zawdy juhasi schodzą się i zaprowadzają szałas, bo przez owiec przecie nie można być. Tamok, w tem miejscu, szałasa nie można było założyć, ka łonie był, bo hań wielga ruina, kamienie, pustać. Toż naśli se w Miętusiej rówienkę, zwaną Przysłup, założyli szałas, uzganiali owce, ale już o połowę mniej, jako łonie.

Weśli juhasi pirszy dzień do hali ze swemi owcami. Napaśli owce, a na wieczor podoili i pośli z mlikiem do szałasu. I co się nie zrobiło: owce się jako zastrachały i poszły w nocy w turnie, w wieldżazne, i pasły się po najgorszych miejscach. Juhasi z wielgim strachem za nimi gonięcy, chcieli jako wrócić swoje owce na szałas. Ale juści w nocy po takich pustaciach, przepaściach, turniach ostrych nijakim światem nie mogli ani dójść, ani przejść. Dyć każdy może ozsądzić, że jako idzie równą drogą po ćmie, to się przepaści robią, a jakoż dopiero w przepaściach! Ale jako się namieniło na dzień, same owce przyszły na szałas. Żadna się nie straciła i sićkie beczały do swoich juhasów, coby śli ich doić, bo nijaki juhas nie poradzi napaść owce tak dobrze, jako one się napasły w nocy. Podoili juhasi na rano i chcęcy ich paść, jako się wsze pasuje, ale owce do paszy ruszyć się nie chciały, ba legły i mierędziały. Ku połedniu się tam końdek popasły i na odwieczerz końdek. Juhasi wieczor podoili i pośli z mlikiem do szałasa, ale nie sićka — paru ostało przy owcach i gwarzyli do owiec, bo myśleli, co wczora one się czegoś zestrachały. Owce stoją, bystro uszami przerabiają, kieby co zwidziały straśnego. Juhasi padają do owiec:

„Prrrujka! nie bójcie się!“ A owce moje, czem bardziej do nich mówią, tem bardziej ruszają się, strachają, jaze sićka durkły w lasy, w ostre turnie....

Juhasi odbiegli mliko i syr, oscypki i swoje rzeczy, chcęcy łapić owce i zawrócić na szałas. Ale to się już nie dało. I tak się mordowali po kilka nocy, bo każdy wieczór owce tak robiły. Kieby juhasi byli do tych przepaści pośli we dnie z owcami, kany się pasły w nocy, to połowa owiec byłaby wybita, a tamok jednej uszkodzonej nie było i barz dobrze doiły się w to lato, dobrze służyły, jako powiadają owczarze. Juhasi zmartwioni byli, zmordowani za nimi gonięcy po nocach, a chociaj potem już nie śli za nimi, wsze to ich męczyło: co się stanie z owcami, z naszemi? Jaze w jedną noc któryś juhas ni móg wytrzymać i poszeł za kierdelem w nazorki, chociaj wiedział, iże ich nie wróci. I dobrze niebardzo, słyszy przy owcach śpiew człowieczy, ale widzieć śpiewającego nie można, chociaj noc była widna. Owce widział, a człowieka nie, ino śpiewonkę słyszał i echo w turniach się pięknie odbijało. A śpiewało to tak:

Ani ja portecek, ani ja cuzecki,
Jakoz ja bendem pas te ludzkie owiecki *)

A ciągiem śpiewało to samo jedno. Juhas zachował do głowy ten śpiew i poszeł na szałas, ozpowiedział towarzyszom, jaką śpiewonkę słyszał. No i dobrze niebardzo, juhasi tak uradzili: kielo łonie zginęło juhasów, co ich przysuł ten wirk, telo dali zrobić krawcowi portek i cuzek, coby było la każdego. I jak podoili na wieczór owce, zawiesili to odzienie na strondze i pośli z mlikiem do szałasa. Pośli, ale wsze się obzierali na koszar: co ta będzie z naszemi owcami? Owce cicho legły i zaczęły mierędzić. Ale w te coś przyszło i to odzienie wzieno i miłosiernym głosem zapłakało: „Jużeście nas tera wypłacili“...

Owce leżały cicho, nigda w nocy nie szły już paść, a juhasi mieli spokój i mają go do dziś dnia...

*) Porów. komentarz Sabały do warjantu tej piosenki, i opowieść o Miętusiej, przytoczone we wspaniałem dziele Stanisława Witkiewicza: „Na przełęczy“ — str. 103 i 114.

Wyrazy gwarowe: Końdek = trochę, nieco, wirk = szczyt, sieleniejakie = rozmaite, Kierdel = stado, łonie = zeszłego roku, prawie = właśnie, oscypek = serek góralski, wraz = razem, przeradził = rozmówił się, nijakim światem = w żaden sposób, mierendziały = żuły, watra = ognisko.

Tyle słów Gąsienicy. Żywa wyobraźnia zaciera w jego pojęciu granicę między światem rzeczywistych stosunków a cudownością, ukazuje mu krainę dziwów, czarów, cudów, którejby nie dojrzał, patrząc na ludzi i rzeczy przez „mędrca szkiełko“.

A blasków tęczowych tej fantazji pierwotnej, nie gasi w podhalanach książkowa wiedza. Taki naprzykład Jędrzej Słodyczka z Zubsuchego, wsi graniczącej z Zakopanem, — pomimo że dał synowi wykształcenie uniwersyteckie i o wielu rzeczach od niego słyszał, — pomimo, że sam czytuje z młodzieńczym zapałem książki i gazety, jest posiadaczem pokaźnej bibljoteczki, rozprawia o rozmaitych zagadnieniach filozoficznych, zna teorję Darwina, — taki Słodyczka wierzy w boginki i topielce równie szczerze, naiwnie, niezachwianie, jak i niepiśmienny Gąsienica, o wypadkach zaś na Miętusiej mówi głosem, tłumionym grozą, z przejęciem tak głębokiem, że udziela się ono mimo woli słuchaczom...

M. Wysłouchowa.

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Kazimierz Gliński. *Pan Filip z konopi*. Z nieznanych dotąd żadnemu historykowi rękopisów sumiennie odtworzył i do publicznej wiadomości podał... Warszawa 1902. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 423.

„Wyrwał się, jak Filip z konopi“ — to stare przysłowie, po dziś dzień jeszcze w użyciu będące, a o którego powstaniu wszelka już dziś zatarła się wiadomość, dało autorowi tej powieści jedynie imię „bohatera“, reszta jest wytworem fantazji, rzuconym na tło historyczne. Tło to — lata poprzedzające bezpośrednio abdykację Jana Kazimierza — naszkicowane jest dość bezbarwnie, choć niejednym rysem wskazuje wyraźnie na wpływ sienkiewiczowskiej „Trylogji“. Powrót króla-wygnańca do stolicy po ukończeniu wojny szwedzkiej i powrót szlachty do domów, śluby wreszcie lwowskie Jana Kazimierza i pierwsze kroki Marji Ludwiki około przeprowadzenia kandydatury Kondeusza — to momenty dziejowe, około których osnuł autor fabułę swej po-

wieści: powrót bohaterskiego pana Filipa do ojczystych Konopi i jego przeróżne przygody w drodze... do ślubnego kobierca z ukochaną podkomorzanką, której rękę, z takim trudem i po tylu przejściach zdobytą, on w ostatniej chwili kochanemu przez nią skrycie młodzieńcowi wspaniałomyślnie odstępuje... poczem sam, wyrwawszy się na sejmiku niefortunnie z propozycją ogólnego uwłaszczenia włościan w myśl ślubów królewskich, umiera niebawem z odniesionych ran fizycznych i moralnych, na ręku swych kmieci, których poprzednio jeszcze wolnością obdarzył. Mamy tu i nieuniknione ocalenie ukochanej i jej ojca od śmierci, przez połączone z narażeniem życia powstrzymanie spłoszonych koni, oraz naturalnie porwanie tejże ukochanej przez rywala, przy pomocy wezwanych zdradziecko Tatarów, dalej sporo mniej lub więcej prawdopodobnych awantur, pojedynków, pijatyk i t. p. Wszystko to, zgrabnie splecione z fabułą, daje niezgorszy obraz obyczajowy ówczesnego życia szlacheckiego, tracący jednak wiele na nieuniknionem porównaniu z blisko leżącymi wzorami. To samo da się powiedzieć o postaciach pierwszo- i drugorzędnych tej powieści, przypominających znane już skądinąd typy tego rodzaju. Najwięcej interesu budzi jeszcze wyidealizowana postać „bohatera", z której autor chciał, zdaje się, stworzyć rodzaj symbolu tego bohaterskiego altruizmu jednostek, który od czasu do czasu, „jak Filip z konopi", w dziejach naszych się „wyrywał"... Szlachetna myśl przewodnia, zajmująca fabuła, płynny a nieraz poetyczny styl, zalecają tę powieść, wyróżniającą się dodatnio od innych tego rodzaju utworów historyczno-powieściowych.

A. C.

*

Wpływ umysłu na ciało. Napisał Dr. Dubois. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1902.

Autor omawia wzajemną zależność stanu duszy ludzkiej ze stanem organizmu, wykazuje, że cała duchowa istota człowieka zależy po części od odziedziczonych właściwości, po części zaś jest wypływem zewnętrznych wrażeń i przystosowania się do nich. Także i chwilowy nastrój duchowy i moralny zmienia się ze zmianą funkcyj organizmu. Z drugiej zaś strony sposób myślenia i sposób odczuwania wrażeń nie jest bez wpływu na fizyczny stan organizmu i jak zanadto wielką wrażliwość i zbyteczne zwracanie uwagi nawet na drobne zmiany w organizmie jest w stanie wywołać istotne zaburzenia w normalnym stanie ciała, czyli spowodować chorobę lub ją zaostrzyć, tak znowu panowanie nad wrażeniami, nie zwracanie na nie uwagi, zdolne jest różne zboczenia fizyczne do normalnego stanu sprowadzić, czyli wyleczyć niejedną chorobę. Na tem właśnie polega suggestja, to jest poddawanie wrażeń, celem leczenia i autosuggestja, czyli wytwarzanie wrażeń, a nawet zmian fizycznych w organizmie przez silne przejęcie się pewną myślą o nieprawidłowym rzekomo stanie ciała.

Z tego wynika, że jest możliwe przez pewnego rodzaju hygjenę duszy, przez panowanie nad wrażeniami, uchronić się od wielu chorób, osobliwie nerwowych, nie polegających na wyraźnych anatomicznych zmianach w organizmie. Ma to zwłaszcza zastosowanie przy rozpowszechnionej w tych czasach neurastenji i histerji, i w tych bardzo częstych cierpieniach sam chory jest dla siebie najlepszym lekarzem, jeśli zdobędzie się na siłę woli i jeśli jest w stanie zapanować nad wrodzoną, lub nabytą nadczułością na wpływy i wrażenia zewnętrzne.

Odczyt ten Dra Dubois w Bernie wywołał podobno, jak autor zapewnia, wielkie wrażenie na słuchaczach, chociaż nie mieści on zgoła nic nowego, a przypomina fakta i zjawiska oddawna znane. Dla inteligentnych czytelników nie będzie jednak bez korzyści przeczytanie i tej „Książki dla wszystkich". Dla osób mniej wykształconych rozprawka ta, podobnie jak wiele innych z cyklu wydawnictwa M. Arcta p. t.: „Książki dla wszystkich", jest za trudna, zarówno ze względu na pojęcia naukowe, które wprowadza, jak i ze względu na mało popularny w naszych stosunkach sposób wykładu.

W samem rozumowaniu możnaby zarzucić autorowi jednostronność, gdyż właśnie z obopólnej zależności umysłu i ciała wynika, że ogólne wzmocnienie organizmu fizycznego, czy to przez zabiegi djetyczne i przez odpowiednią hygjenę, czy też przy pomocy środków leczniczych, może potężnie wpływać na stan umysłu i dopomagać do odzyskania równowagi przy nadmiernej wrażliwości i śledzienniczem usposobieniu. Na tę okoliczność autor prawie nie zwrócił uwagi i żąda prawie, aby lecznicze działanie umysłu na ciało samo z siebie się zrodziło, a takie jednostronne pojmowanie i przedstawianie sprawy wiedzie często nietylko pacjenta, lecz i lekarza do lekceważenia i zapoznawania fizycznych zboczeń chorobowych, a wtedy cała kuracja psychiczna staje się po prostu partactwem i nieraz katastrofy bywa przyczyną. Lekarz i leczenie wogóle musi mieć zawsze na względzie dwie rzeczy: umysł i ciało, a nie sam tylko umysł Suggestja nie jest jeszcze ostatnim wyrazem sztuki leczenia i zbyt często nawet zawodzi w chorobach czysto nerwowych. Medycyna dawno już uporała się z uroszczeniami wyłącznie psychicznego leczenia i dziś przeciwnie wkracza w to stadjum, że nawet choroby umysłowe, jak idjotyzm i matactwo, stara się usuwać lekami aptecznymi i to nie bez skutku. Kto więc wykłada obecnie o psychicznem leczeniu i przedstawia je jako poddanie ciała pod rozkazy silnego ducha, ten popełnia anachronizm, jeśli nie wspomni o najnowszych, zdumiewających zdobyczach odwrotnej metody leczenia, która przez organizm fizyczny zdolna jest wpływać nawet na ustrój umysłowy.

M.

PISMA. *Chimera. Tom III. i IV.* Kiedy w początkach tego wydawnictwa mówiono o niem z przekąsem, że nie robi wstydu swej nazwie i wychodzi istotnie „chimerycznie", to oprócz samego żartu z tego, że numera ukazują się w kilka miesięcy po terminie, było w tem jeszcze przypuszczenie, że i co do innych zobowiązań względem prenumeratorów będzie sobie „Chimera" chimeryczną, zwłaszcza, gdy pod koniec roku wyszedł zeszyt 6-ty, t. zn. zaledwie połowa rocznika. Tymczasem niedawno nagle zjawia się sześć zeszytów naraz, tak dalece odpowiadających treścią, rozmiarami i zewnętrzną szatą swojemu założeniu, że jeżeli nawet przymiotnika „chimeryczne" nie można odjąć pismu jeszcze i teraz, to dotyczy on jedynie niedotrzymywania terminów. Nawiasem powiedziawszy, niedo-

kładność ta nie jest wielkiem nieszczęściem, ze względu na charakter „Chimery“, która jest więcej polską antologją literacką, niż czasopismem literackiem w zwyczajnem tego słowa znaczeniu.

Streścić i ocenić te dwa tomy, obejmujące razem blisko 1000 stronic, byłoby niepodobieństwem; można je tylko pobieżnie scharakteryzować, wymieniając nie tyle dzieła, ile reprezentowane przez nie drobne prądy, nurtujące zebrane tam wody modernizmu. Oczywiście. że przytem z góry zastrzedz się należy, jakoby „Chimera“ była jakiemś jego wszechstronnem ujęciem, jakoby była taką wyłącznie dlatego, że takim jest modernizm. We wszystkiem znać tu indywidualność redaktora „Chimery“, p. Przesmyckiego, tak silnie, że z tego rocznika można sobie skonstruować nietyle charakter modernizmu polskiego, ile kierunek aspiracji i upodobań literacko-artystycznych p. Przesmyckiego.

Zaznacza się to więc przedewszystkiem na stosunku rzeczy obcych, tłumaczonych do polskich. Z wyjątkiem powieści „Próchno“, Berenta, która ciągnie się aż do końca ostatniego tomu, oraz dramatu Cyprjana Kamila „Wanda“, z większych rzeczy znajdujemy tam przeważnie obce. Jest więc Grabbego dramat: „Żart, satyra, ironja, głębsze znaczenie“; Campoamora poemat: „Licencjat Torralba“; Andrzeja Gide dramat: „Filoktet“; Keatsa poemat: „Hyperjon“, oraz spora wiązanka fragmentów z „Zarathustry“ Nietzschego. Wśród mniejszych utworów widzimy z naszych: Kasprowicza z „Hymnem do św Franciszka“ i „Judaszem“; Lemańskiego z satyrą: „Towarzystwo“; Markowską z większym wierszem: „Babie lato“; Bytkowskiego z małą przybyszewskiadą: „Prorok“; Tad. Micińskiego z fantazją chińską: „Historja dwojga kochanków“; M. Komornicką z utworem: „Czarne płomienie“ i Józefa Jedlicza z cyklem wierszy: „Sny i tęsknoty“. Po za tem całe szeregi obcych, a więc: „Krucjata dziecięca“, Marcelego Schwoba; garść szkiców beletrystycznych Wasyla Stefanyka; wybór z poezji Teodora de Banville; „Wyznania“ Boecklina; „Prometeusz źle splątany“, Andrzeja Gide; kilkanaście ballad szkockich, szereg wyjątków z utworów Jerzego Rodenbacha; „Tajemnica w sztuce“, Otokara Brzeziny i „Chwała Lutterathu“, Jerzego Eckhouda.

We wszystkich tych rzeczach, z wyjątkiem „Próchna“, uderza, biorąc już samo *quantum*, przewaga po stronie utworów obcych, które, zwłaszcza wymienione na początku, o wiele więcej miejsca zajmują od polskich. Pochodzi to stąd, że p. Przesmycki, jako wielki smakosz i erudyta zarazem, siłą rzeczy więcej znajduje podobających mu się utworów w przystępnej mu literaturze całej reszty świata, niż w samej polskiej.

Po wyborze dzieł można wnosić jeszcze o jednym rysie charakterystycznym upodobań p. Przesmyckiego. Oto, zarówno wśród naszych, jak i obcych utworów znajduje się sporo materjału, którybym nazwał „kopalnym“. P. Przesmycki ze szczególnem upodobaniem wywleka na światło dzienne zapomnianych autorów, jeżeli tylko w dziełach którego z nich znajdzie choć trochę tych estetycznych aspiracji, które mu się podobają. Do takich z naszych należą dwaj Cyprjanowie: Norwid i Kamil, a z obcych: Campoamor lub Grabbe. Że mu się przytem, jak przy Norwidzie lub Grabbem, udało spełnić zasługę, to prawda, szkoda tylko, że wybrał ich nietyle dla ich właściwej wartości, ile dla takich rzeczy, jak ich wyniosłe dziwactwo, zajadłość w walce artysty z tłumem, egzotyczność i t. p.

Najwięcej jeszcze można z „Chimery“ poznać poezję polską, o ile ona się zawiera w tym deszczu drobnych utworów, jaki w ostatnich latach skrapia niwy polskie. Są tu prawie wszyscy młodsi autorowie i autorki, a więc: Staff, Zbierzchowski, Jedlicz, Markowska, Komornicka, Zawistowska, Zbrowski, Wyrzykowski, Sterling, oczywiście znowu tylko z takiemi rzeczami, jakie przystają do pojęć p. Przesmyckiego o sztuce, wyrażonych teoretycznie w „Glossach“, zamieszczanych na końcu każdego numeru. „Glossy“ te stanowią jednak tylko surogat tego, co po innych czasopismach nazywa się ich stroną teoretyczno-krytyczną. Jest ona też najsłabszą w „Chimerze“, która zresztą główny nacisk kładzie na dzieła same. Ale podczas, gdy w nich — wprawdzie wedle upodobań p. Przesmyckiego — przemawiają przecież różni autorowie, a choć grono jest bardzo „dobrane“, panuje przecież pewna rozmaitość, bo indywidualności są różne i te różnice nie dają się całkiem znihilować — tu przemawia wyłącznie sam p. Przesmycki, dając ciągle w podobny spesób wyraz swoim aspiracjom, przekonaniom i pragnieniom.

Jeżeli się do tego uwzględni i zewnętrzny wygląd tomów, dostrojony do tonu treści pod względem pięknych często, ale egzotycznych zawsze rycin i ozdób, wykonanych z charakterystycznie naiwnym przepychem, to zrozumie każdy, że „Chimera“ musi robić wrażenie perjodycznej antologji jednej grupy artystyczno-literackiej, zbyt jednostronnej, zamkniętej w sobie i ograniczonej przez jedno indywiduum, ale w tem ograniczeniu oryginalnej i zajmującej. *St. W.*

NOTATKI. *Solomos w poezji polskiej.* Odnośnie do rozprawki p. Fr. Jaw. o poecie nowogreckim Solomosie, zamieszczonej w poprzednim numerze „Tygodnia“, otrzymaliśmy następujący list z cennem przypomnieniem o styczności tego poety z jednem z największych słońc naszej polskiej poezji.

„Szanowna Redakcjo! Z powodu artykułu w „Tygodniu“ o poecie greckim, Solomosie, pozwolę sobie zauważyć, że Solomos (co się rzadko zdarza w naszej literaturze względem poetów obcych) został naszkicowany w „Podróży do Ziemi Świętej“ Słowackiego, (Pieśń III.) i warto o tem wspomnieć. Słowacki przytoczył nawet tłumaczenie czterech jego wierszy, a mianowicie:

„O, znam ja ciebie, której ręka trzyma
Miecz, w piorunową uzbrojony jasność;
O, znam ja ciebie, skrawymi oczyma
Na świat patrzącą, jak na przyszłą własność“...
Z takim to niegdyś do Wolności żarem
Przemówił ów graf — i został Pindarem.

Postać Solomosa (albo — jak Słowacki pisze — hraf Solomon z Zante) jest trochę skarykaturowana, ale głównie z powodu jego choroby — więc niema w tem dla niego nic ubliżającego“. *B. Schwarce.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8